NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „DRWĘCY."

Nr. 27. | Nowemiasto, 4 lipca 1926 r. | Rok 3.

Ewangelja

św. Marka rozd. 8, wiersz 1—9.

W one dni, gdy wielka rzesza była, a nie mieli, coby jedli, Jezus wezwawszy uczniów Swoich, rzekł im: Żal mi ludu iż oto już trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają coby jedli. A jeśli ich opuszczę głodnych do domów ich ustaną na drodze, bo niektórzy z nich z daleka przyszli. I odpowiedzieli Mu uczniowie Jego: Skądże ich będzie mógł kto tu na puszczy nakarmić chlebem? I zapytał ich: Wiele chleba macie? Którzy rzekli: siedmioro. I rozkazał rzeszy usiąść na ziemi. A wziąwszy siedmioro chleba, dzięki czyniac, łamał i dawał uczniom Swoim, aby przed nich kładli; i kładli przed rzeszą. Mieli też trochę rybek! i te błogosławił i kazał przed nich położyć. I jedli i najedli się: i zebrali co było z ułomków siedm koszów. A było tych, co jedli około czterech tysięcy i rozpuścił ich.

✦ ✦

Nauka z ewangelji.

Jakich znaków użył Chrystus przy tym cudzie i czemu?

Według opowiadania św. Mateusza (14, 19) 1, spojrzał najprzód w niebo aby, okazać, że wszystko dobre z nieba pochodzi, że Bóg otwiera szczodrobliwą dłoń i wszystkim potrzebom zaradza. 2. Złożył Bogu dzięki, aby nas nauczyć, iż my Ojcu niebieskiemu za Jego hojne dary dziękować winniśmy. „Stół" mówi Chryzostom święty, „zaczynający się od modlitwy i na niej kończący, nigdy nie uczuje niedostatku, lecz będzie miał „obfitość wszystkiego." 3. Pobłogosławił chleb, aby nas nauczyć, że błogosławieństwo Boże darzy obfitością.

Cóż oznacza cud ten w ściślejszem znaczeniu?

Oznacza on szczególnie Najświętszy Sakrament Ołtarza, który nietylko pięć tysięcy ale miljony osób duchowo karmi, a mimo to nigdy się Go nie spożyje.

Czemu Pan Jezus kazał zebrać okruchy?

1, Aby ich nie podeptano i nie zmarnowano. 2. Aby z ich obfitości oceniono wielkość cudu, 3. Abyśmy się nauczyli cenić dary Boże choćby najdrobniejsze, a nie czując potrzeby użycia ich dla siebie, rozdawali je między ubogich.

✦ ✦

Magnifikat.

(Na dzień Nawiedzenia Najśw. Marji Panny, 2 lipca

„Magnificat"! — obcy wyraz, z łacińskiej mowy wzięty, a mimo to tak dobrze znany każdemu sercu katolickiemu. Magnificat, to pieśń chwały i uwielbienia, potężny hymn dziękczynny, który Kościół śpiewa Bogu co dzień, w każdem nabożeństwie nieszpornem.

„Hymn Bogarodzicy" — oto inne miano tej pieśni. I słusznie: bo Najświętsza Panna pierwsza ją zanuciła, dziękując Bogu, że „uczynił jej wielkie rzeczy, który możny jest i święte imię Jego!" A jednak trudno powiedzieć, że Marja ułożyła „Magnificat". Bo gdy poeta wiersz jaki układa, to nieraz długo zastanawia się nad tem, jakby najlepiej myśli swojej piękną nadać formę. Nie tak powstał hymn Matki Boskiej. To nie kunsztownie ułożona pieśń, ale raczej wylew uczuć wezbranych, uczuć najgłębszej wdzięczności, iż miłosierny jest Pan i wierny w dopełnieniu obietnic Swoich.

* * *

Od Archanioła Gabryela dowiedziała się Najświętsza Dziewica, iż krewna Jej, Elżbieta, miała zostać matką. Poznawszy przez Ducha św., że Jej odwiedziny staną się źródłem łask dla rodziny Elżbiety, postanowiła czemprędzej udać się do niej. Spieszy więc w góry judzkie, do Hebronu. Miłość ją prowadzi, miłość usłużna i ofiarna. Przyszedłszy do domu Zacharyaszowego, wita Elżbietę, winszując jej szczęścia, że dziecię, któremu da życie prorokiem będzie Najwyższego. Ale i Elżbieta z natchnienia Bożego, poznaje w tej Dziewicy, wstępującej w progi jej domu, wielką Matkę Boga, to też do stóp Jej się schyla i pierwsza z ludzi hołd od-

daje Błogosławionej między niewiastami. I w tej chwili przez pośrednictwo Marji, św. Jan Chrzciciel, będący jeszcze w łonie swej matki, odebrał ową łaskę Ducha Św., którą zapowiewiedział już Archanioł Gabryel Zacharyaszowi dusza jego uwolnioną została od grzechu pierworodnego. Widzi najświętsza Panna, że Bóg miłosierny znow zniża się do ziemi, że Królestwo Boże zstępuje na świat i zbliża się chwila pojednania człowieka z Bogiem, a Ona, pokorna służebnica pańska, Pośredniczką ma być i Współodkupicielką rodzaju ludzkiego. Więc radość niezmierna przepełnia Jej duszę, a z serca wdzięcznego wzbija się pieśń ku niebiosom: „Wielbi dusza moja pana...“ — „Magnificat!“

* * *

W kościele odprawiają się uroczyste nieszpory. Przebrzmiały już psalmy Dawidowe, odśpiewano hymn, sławiący tajemnicę dnia świątecznego, teraz jeden z kapłanów intonuje „Magnifikat“. Celebrujący wstępuje po stopniach ołtarza w otoczeniu asystujących mu duchownych i wziąwszy do rąk srebrną kadzielnicę, okadza ołtarz Pański. Huczą organy, a pod strop świątyni wzbija się pieśń uwielbienia: „I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim!“ — „Magnificat!“

I w skromnym wiejskim kościółku jarzy się światło na ołtarzu, ludzie przyszli na nieszpory, boć to niedziela, dzień święty. I tam płynie ku niebu pieśń Bogarodzicy. Powstali wszyscy z klęczek i śpiewają z zapałem:

Uwielbiaj, duszo moja, sławę Pana swego,.
Chwal Boga Stworzyciela, tak bardzo dobrego,
„To Magnificat!“

Przedziwna pieśń. niema dnia, w którym by jej Kościół nie śpiewał. Dźwięczy echem tryumfu i wesela w dniach chwały, w wiekie uroczystości kościelne, ale nie milknie i wtedy, gdy smutne święcimy obrzędy. Nawet w Wielki Piątek, w obliczu krzyża. na którym skonał Zbawiciel, intonuje Kościół radosny hymn Bogarodzicy. I słusznie. Bo i Matka Najświętsza tych uczuć, które ożywiały Jej serce w dniu Nawiedzenia, gdy pierwsze zabrzmiało „Magnificat“, nie porzuciła nigdy. Stojąc pod krzyżem, pogrążona w boleści, gotowa była powtórzyć wszystko raz jeszcze, słowo za słowem. Przecież sprawiedliwości Bożej stało się wreszcie zadość i zbawienie ludzi zapewnione — a to było celem Jej życia i życia Jej Syna.

To też nie dziwmy się, że nawet przy nabożeństwie żałobnem nie brak „Magnificat“. Gdy dusza sprawiedliwego człowieka opuszcza ziemski padoł, gdy to, co znikome, zamienia na to, co wieczne, czyż nie godzi się chwalić Boga i dziękować Mu?

Szczęśliwe serca nastrojone zawsze na nutę, „Magnificat“! Pokój w nich panuje i pogoda której nie zamącą przeciwności życia. To serca prawdziwych chrześcijan, serca bohaterskie!

Krótkie uwagi.

Nie ten bogaty, co ma wiele pieniędzy, ale ten, kto ma wiele zasług!

Nie ten ubogi, co nic nie ma, ale ten, co ma grzechy!

Lepiej być skrzywdzonym, jak skrzywdzić

Nie lękaj się sądów ludzkich, ale lękaj się sądu Boskiego!

Jak cię ludzie chwalą, nie wynoś się, jak cię ganią, nie troszcz się; jesteś tem, czem jesteś w oczach Boskich!

Przy każdej sprawie nie pytaj się, co ludzie na to powiedzą, ale co Bóg na to powie?

Życie krótkie — a wieczność długa!

Cały świat tyle złego ci nie uczyni, co jeden grzech!

Nie zazdrość bogatszym, a nie gardź uboższymi!

Kto się upokarza, tego Bóg wywyższy, a kto się wywyższa tego Bóg upokorzy.

Kochaj bliźniego, jak siebie samego, a kto mówi, że Boga kocha, a bliźniego nienawidzi — kłamcą jest!

Rozmowa ze skowronkiem.

Czy o poranku
Kwiatów modlitwę i ziemi westchnienia
Zanosisz niebu, ty zorzy kochanku,
W dziękczynne złożone pienia?

Czyś ty jest gońcem,
Co życiu ziemskiemu za posła służy —
I by je wzbudzić zlatuje przed słońcem,
Dzień dobry niosąc róży?

Czy może ciebie
Spragniona tam skiba, ptaszyno miła —
Po chłodny deszczyk do chmury na niebie,
Majowym rankiem wysyła?

A może z gniazdka
Patrząc na nockę całą w gwiaździste stada,
Wzlatujesz spojrzeć, jak ostatnia gwiazdka
Cicho za góry zapada?..

— Ani ja słońcu, ni ziemi nie służę,
Ani zą gwiazdą wznoszę się pod niebo,
Śpiewam, bo sercu śpiewać jest potrzebą,
Lecę — by Boga zobaczyć tam w górze!

I gdy się niebo przed słońcem rozchyli,
A blaski buchną, jak fala błękitem,
Ja zajrzę tylko i w tej chwili właśnie
Pieśń ma z obłoków upada — zachwytem!

Czy tak się godzi?

W ostatnich czasach rozpowszechnił się zwyczaj, że zabawę taneczną odkłada się zazwyczaj na dzień sobotni, jako, że następnego dnia nie potrzeba wstawać do pracy. Do pracy nie potrzeba, ale w niedzielę trzeba przecież iść do kościoła i podziękować Bogu za cały ubiegły tydzień. Ażeby pójść i pomodlić się gorliwie, musi mieć człowiek odpowiedni nastrój, nie mówiąc już o tem, że zmęczony dobrze modlić się nie będzie.

(Ciąg dalszy na 4-tej stronie.)

Szkielet na Lesznie.

Powieść

przez

3) **Walerego Przyborowskiego.**

(Ciąg dalszy).

— I to mi mówi młody człowiek, dwadzieścia kilka wiosen zaledwie liczący przed którym cały świat, ten wielki, olbrzymi świat ludzki, stoi otworem. Więc cóż to za młodzież jest teraz, bogowie! czyż nie masz w nas ani jednego nerwu, ani jednej kropelki tego, co ludzie nazywają ciekawością? Nie, młodzieńcze, kapłanie Eskulapa, uczniu Hipokratesa, jak cię ten gupiec Wincenty nazywa, nie! ciekawość jest pierwszym stopniem do doskonałości, matką wszystkich wielkich dzieł, odkryć i wynalazków ludzkich. Ale chodźmy, bo widzę, że ten gazeciarz Goldsing pragnie także dostać się środka i pertraktacye prowadzi z policyą!

To rzekłszy, ruszył swym drobnym, zdumiewająco lekkim w takiej beczce sadła, krokiem ku grupie policjantów, przed którymi stał reporter z cygarem w ustach i mówił:

— „Enfin", słowo honoru daję... że... prawdę powiedziawszy... bo to panowie widzicie.. wcale nie rozumiem...

— Dzień dobry! — mruknął reporter i wyciągnął swą dużą, brzydką łapę, którą wprzód obtarł o surdut, do przybywającego Heliglasa.

— O cóż to panu idzie? — spytał ten ostatni.

— „Ma foi..." wystaw pan sobie... że prawdę powiedziawszy... ci panowie... Słowo honoru daję... wcale nierozumiem...

Heliglas wydobył pudełko z cukierkami, otworzył i podając je reporterowi, rzekł:

— Może pan spróbujesz?

— Owszem.

I sięgnął pałkowatymi palcami po kilka cukierków, poczem Heliglas zwrócił się do policjantów i skłoniwszy im się grzecznie, rzekł:

Mogę panów poczęstować temi słodyczami? Zapewniam panów, że to wybornie robi na nudy, na wszelkie humory i nakoniec na żołądek.

Policjanci z uśmiechem spoglądali na dziwaczną figurę, stojącą przed nimi, wzięli po parę cukierków. Uskuteczniwszy to, Heliglas starannię zamknął pudełko, schował do kieszeni i zwracając się do reportera, rzekł:

— Teraz, szanowny nasz redaktorze racz powiedzieć, o co idzie? Tylko — tu wydobył śliczny złoty zegarek i patrząc niego, mówił — ostrzegam pana z jednę rzeczą. Teraz mamy godziną piątą, a ja punktualnie od lat dwudziestu o godzinie 8 -ej idę do restauracji i tam jem kolację. Jeżeli więc szanowny redaktor nie przyspieszy rwącego potoku swej wymowy, ja mogę się spóźnić, choć co prawda, teraz jest jeszcze dzień o ósmej. O cóż więc idzie?

O to, że... enfin... ci panowie, nie chcą mię... ma foi... puścić do środka.

— A! to jest tylko nieporozumienie, proste nieporozumienie. Szanowni panowie! — tu zdjął z głowy swój biały kapelusz i kłaniał się policjantom — ja jestem Ryszard Lwie serce Heliglas, niegdyś, niestety! sic transit gloria mundi! sławny muzyk wirtuoz, dziś emeryt do usług czcigodnych panów. To...— tu wskazał na reportera - jest pan Aleksander Goldsing, znany i powszechnie ceniony nasz redaktor, to zaś — obrócił się ku stojącemu opodal młodzieńcowi — pan Władysław Żubr, lekarz fakultetu warszawskiego, słońce wschodzące nauki, jutrzenka budząca wielkie nadzieje.

Jeszcze raz z powagą skłonił się policjantom włożył swój biały kapelusz na głowę.

— Enfin — mruknął reporter, nie wyjmując cygara z ust — pragnąłbym wiedzieć...

— No, to i dobrze — ozwie się jeden z policjantów — cóż panowie chcą?

— Czego my chcemy, o czcigodny reprezentancie władzy! chcemy poprostu ze względów wyższych dostać się do tego domu i obaczyć wykopany z ziemi szkielet.

— Nie można — odparł spokojnie policjant.

Heligas jeszcze raz dobył pudełka z cukierkami obdzielił niemi znów obecnych, przyczem reporter Bóg wie z czego śmiać się zaczął i mówił:

— To dziwne, ma foi... ja jestem zawsze.... wiedzicie panowie....
dobrze z władzą.... więc słowo honoru...

Heliglas rozpoczął dalsze pertraktacje z policjantami i po dość długim sporze, w rezultacie postawił na swojem i na czele dwuch towarzyszy wkroczył tryumfalnie do środka. Gdy się już znaleźli w pierwszym pokoju na lewo od wejścia reporter rzekł wyjmując cygaro z ust i spluwając:

— To wszystko dobrze... ale... słowo honoru tu dużo pokoi... gdzież tedy ten szkielet?

O! nie lękaj się latarnio mądrości — zawołał Heliglas — ja cię zaprowadzę, Chodźcie panowie tylko za mną.

— Czyż pan znasz ten dom? — zapytał lekarz Żubr.

Na to pytanie Heliglas nagle zatrzymał się i szybkim ruchem nacisnął biały kapelusz na oczy. Twarz jego dotąd uśmiechnięta, nagle na krótką jak błyskawica chwilę, spoważniała, wielkie czarne oczy rozwarły się szeroko, a usta czerwone zadrgały. Opamiętał się jednak zaraz i uśmiechając się rzekł:

— Nie, młodzieńcze, ja tego domu nie znam. Nie byłem tu nigdy. Jeżeli mówię, że was zaprowadzę do owego.... owego szkieletu, to dlatego, że ja Ryszard Lwie serce Heliglas mam instynkt, ową cudowną siłę natury, która każe bocianom z początkami jesieni ze strzechy chłopa polskiego przenosić się na szczyty piramid, z których czterdzieści wieków patrzy na nędzny ten świat.

Istny potok słów lał się z jego ust, jak gdyby chciał tą wymową zatrzeć swoje chwilowe zmieszanie. Był jednak widocznie niespokojny oczy mu latały, ręka nerwowo laską uderzała o posadzkę, a usta wciąż lekko drgały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wyobraźmy sobie ludzi, którzy do czwartej rano tańczyli na zabawie, może nawet nie pogardzali trunkami, chociażby nawet zwlekli się tacy zabawowicze na nabożeństwo o godzinie 12-ej, jakąż będzie ich modlitwa. W uszach im szumi jeszcze melodja taneczna, a zmęczone nogi szukają wygodnego oparcia.

I to ma być praktykujący chrześcijanin? Czyż nie lepiej urządzić zabawę w niedzielę po południu a zacząć już o godzinie 5-tej, mając do godziny 12-tej w nocy siedem godzin czasu na zabawę. W ten sposób i dzień święty zostanie uszanowany, a poszedłszy spać o dwunastej i w dzień następny stanie się do pracy wypoczęty.

I tu znów piękne zadanie dla kobiet katolickich. Powinny się one sprzeciwiać kategorycznie wszelkim sobotnim balom i zabawom, które mogłyby stać się przyczyną odciągnięcia od nabożeństw niedzielnych. Zabawa wprawdzie jest potrzebna i pożyteczna, ale tylko wtenczas jeżeli można ją pogodzić z obowiązkami.

ROZMAITOŚCI

Brat zabija ze zazdrości siostrę.

Szpital Św. Rocha w Nicei stał się widownią krwawego wypadku, który rzuca ciekawe światło na niezgłębione tajniki natury ludzkiej. Brat zabił swoją siostrę, powodowany zazdrością.

Historja tego wypadku przedstawia się następująco:

Do Nicei przybył niedawno mechanik włoski, Piotr Barnato, liczący lat 41, w towrzystwie siostry Teresy Barnato, liczącej lat 24 i swojej bratowej. W kilka dni potem panna Teresa zachorowała na krwotok i przyjęta została do szpitala św. Rocha. Brat odwiedzał ją bardzo często, raz w towarzystwie swojej bratowej, to znów w towarzystwie jakiegoś znajomego młodego człowieka.

Niedawno wszyscy troje zjawili się w szpitalu i zostali wpuszczeni do chorej. Po półgodzinnej pogawędce, Piotr Barnato poprosił bratową i znajomego przyjaciela, aby wyszli, ponieważ musi porozmawiać z siostrą na osobności. Zostawszy sam z siostrą rozmawiał z nią cicho przez chwilę. Nagle między nim a siostrą wywiązała się żywsza wymiana słów. W tej chwili Barnato wyjął rewolwer i oddał strzał do siostry, kładąc ją trupem na miejscu. Potem strzelił do siebie, raniąc się ciężko.

Geneza tego dramatu jest następująca: Piotr Barnato przyjechał do Francji z Włoch, gdzie porzucił żonę i troje dzieci. We Francji żył od 2 lat i pracował jako mechanik. Na usilne nalegania siostra jego Teresa, przyjechała do niego do Francji, z bratem i z bratową. Przebywała rok we Francji gdy nagle zachorowała ciężko na krwiotok i pojechała do Nicei, aby się leczyć. Tutaj w restauracji poznała młodego człowieka. Później była zmuszona pójść do szpitala św. Rocha. Wtedy przyjechał Piotr do Nicei. Dowiedziawszy się zapewne o miłości swej siostry do Fausta Bonfantiego, wpadł w szał zazdrości i zemścił się pozbawiając ją życia.

Piotr Barnato zmarł wskutek ciężkiej rany.

Wymiana żon.

Nie przez omyłkę, jak to się dzieje w pewnych farsach francuskich, lecz z premedytacją, po przeprowadzonych układach obopólnych, dwaj przyjaciele zamienili z sobą swoje młode żony i z tego powodu stanęli obydwaj przed sądem karnym.

A stało się to w Ameryce, w stanie Virginia, w mieście Richmond. Jednym z bohaterów tego prawdziwego zdarzenia jest właściciel dóbr i przemysłowiec Wiljam Reese, drugim inżynier Wiktor Marino.

Inżynier Marino zajęty w fabrykach swego przyjaciela Wiliama poślubił przed czterema laty uroczą młodą neapolitankę, którą sprowadził z Włoch. A bogaty Wiliam Reese ożenił się z bogatą amerykanką, również bardzo urodziwą.

Żony obydwu przyjaciół żyły w największej zgodzie z początku. Potem stało się, że pan Reese zakochał się w młodej Włoszce i odtąd zaczęły się nieporozumienia.

Pewnego dnia zaproponował W. Reese swojemu przyjacielowi, inż. Marino, aby zamienili z sobą żony. Reese był zapalonym sportowcem, pani Marino namiętnie lubiła sporty, zwłaszcza doskonale jeździła konno, gdy przeciwnie pani Reese po całych dniach leżała w fotelu bujającym lub na szezlongu i czytała.

Inżynier irytował się sportami swej małżonki, a fabrykanta niecierpliwiła „uczona" małżonka zaczytana w książkach i gazetach.

Zamiana miała nastąpić na próbę. Po próbie ewentualnie nastąpić mógł by rozwód, tak opiewała umowa.

Żony uważały to za żart i dały swe zezwolenie.

Gdy żart przerodził się w sprawę serjo, pani Reese, która zda się kochała męża, opuściła wspólny dom i wysłała anonim do prokuratorji. Rezultatem anonimu był proces karny. Sąd okazał się tym razem dość pobłażliwym. Williama Reese skazano na 2 miesiące, inżyniera Marino na miesiąc aresztu.

Wesoły kącik.

Kobieta dopiero później dowiaduje się, co mąż jej istotnie o niej myślał, gdy się o je względy starał.

* * *

Kobieta rzuciła wazonem w męża trafiła w lustro, które się rozbiło i płacze z rozpaczy: „Co za nieszczęście!"

* * *

On się nie pozna.

— Kupiłam sobie śliczną suknię w modnym obecnie jasnym kolorze.

— A cóż mąż na to?

— Czy on się na tem pozna? On zawsze wszystko widzi w czarnych kolorach.

* * *

Dobra rada.

Chory: Panie doktorze, napiłem się trucizny zamiast lekarstwa! Co robić?

Doktór: Testament,